

KRESOWIAK GALICYJSKI

ISSN 1426-4773



Nr 11 (288) Listopad 2020

www.kresowiakgalicyjski.pl

Cena 3 zł (w tym 5% VAT)

MBP CIESZANÓW indeks 334596

Teatr „Arka Lwowska” przewiózł na pokładzie „Preclarę z Pohulanki”



W trzydziestym roku swojej działalności teatr „Arka Lwowska”, prowadzony przez ks. Józefa Dudka, na swoim pokładzie przywiózł wodewil „Preclarka z Pohulanki” według scenariusza Wiktora Budzyńskiego. Przedstawił go lubaczowianom w Miejskim Domu Kultury 10 i 11 października 2020 r. Ten wodewil lwowski został napisany w 1949 r. w Londynie. Jego autor Wiktor Budzyński urodził się w Stanisławowie, z rodziną przeniósł się do Lwowa, w nim ukończył prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Już w czasie studiów założył akademicki teatr „Nasze Oczko”. Pracował w rozgłośni lwowskiego Polskiego Radia. W 1933 r. stworzył satyryczną audycję

cd. na str. 3

ODSZEDŁ ALFRED MARZEC – LEKARZ I KOMBATANT

W Lubaczowie w wieku 88 lat zmarł lekarz Alfred Marzec. Większość lat jego praktyki lekarskiej związana była z Lubaczowem. Po ukończeniu Akademii Medycznej w Lublinie w 1958 roku i odbyciu służby wojskowej, pracował jako lekarz w Nowej Dębie, w szpitalu w Tarnobrzegu, a później w Hrubieszowie. Następnie przybył do Lubaczowa, gdzie w szpitalu w 1976 r. na oddziale chorób wewnętrznych objął funkcję ordynatora; równocześnie pracował w lecznictwie otwartym. Należał do lekarzy ustawicznie się doksztalających. I stopień specjalizacji z zakresu chorób wewnętrznych uzyskał w Rzeszowie w 1964 r., a II stopień na CMKP w Warszawie w 1971 r.

Pracując w lubaczowskim szpitalu, stopniowo, w zależności od możliwości finansowych, w kierowanym oddziale wprowadził szereg korzystnych organizacyjnych zmian. W czasie swojej pracy ordynatorskiej wyszkolił wielu młodych lekarzy na specjalistów w zakresie chorób wewnętrznych.

Na stanowisku ordynatora pracował aż do przejścia w 1998 r. na emeryturę. W latach 1998-2006 w niepełnym wymiarze godzin zatrudniony był w NZOZ „R-36” w Lubaczowie.

Bogata jest również karta kombatancka lekarza. Alfred Marzec od 1966 r. był członkiem Związku Inwalidów Wojennych i Wojskowych RP, w którym awansował do stopnia kapitana. Od 2008 roku pełnił funkcję prezesa

cd. na str. 3



Browar w Starym Dzikowie (lata międzywojenne)

Stary Dzików (II)

Przed wojną Żydzi byli posiadaczami tartaku i młyna napędzanego lokomobila parową. Po nacjonalizacji w 1946 roku młyn przejął GS. Jego kierownikiem był Grzegorz Zwir, a później Antoni Sokal, Kazimierz Ozimek. Z kolei właścicielem tartaku, pracującego przy wykorzystaniu silnika spalinowego, był Mikołaj Tkaczyk. Dynamiczny rozwój gospodarczy gminy rozpoczął się z początkiem lat sześćdziesiątych. Wówczas zelektryfikowano wszystkie wsie. Rolnicy zakładali tzw. „siłę”, która dawała możliwości wykorzystywania silników do napędu maszyn (pił tarczowych, młocarni, siewczarni, hydroforów do pobierania wody). Lata siedemdziesiąte „gierkowskie” zmieniły oblicze wsi, zni-

cd na str. 10

Problem numer 1 dla Lubaczowa

Syty nie rozumie głodnego – mówi znane przysłowie. Gdy rozmawiam z ludźmi i pytam o problem numer 1 dla Lubaczowa, przeważająca większość moich rozmówców z goryczą wymienia brak pracy i konieczność jej szukania poza granicami kraju. Ich zdaniem najważniejszą kwestią dla władz winno być szukanie inwestorów, którzy wybudowałoby w Lubaczowie zakłady dające ludziom zatrudnienie.

Natomiast gdy analogiczne pytanie zadawane jest osobom sprawującym władzę, ich preferencje są zdecydowanie odmienne. Nie wymieniają bezrobocia jako problemu numer 1. W zamian szczytą się takimi inwestycjami jak wybudowany basen, imponujący dom kultury, zmodernizowane ulice. Przy okazji podkreślają pozytywny wpływ tych inwestycji na oblicze miasta. Natomiast nie wymieniają inwestycji przysparzających miejsc pracy. Gdy mimo wszystko drążymy temat, to słyszymy, że problem jest wyolbrzymiany, że ludzie sobie radzą, znajdują pracę, podejmują działalność gospodarczą, wyjeżdżają za granicę. A narzekający w ich przekonaniu to oczywiście malkontenci, których nie stać na własną inicjatywę.

Nie dzieje się to przypadkowo. Podejmowanie działań dających miejsca pracy, czyli włączenie się w poszukiwanie inwestora, to nader trudne zadanie, wymagające czasu i wzmoczonego wysiłku. To konieczność opracowania odpowiedniej strategii. Wiadomo, o przedsiębiorców zabiegają wszystkie niemal samorządy, a zwyciężają najbardziej wytrwali, a więc ci, których strategia przyciągnięcia przedsiębiorców okazała się najbardziej skuteczna.

Praktyką powszechną jest, że samorządy zgłaszają oferty w Internecie. Uczyniło to również miasto Lubaczów. Ale prawdą jest, że ofert w Internecie mamy dziesiątki tysięcy i nie one ostatecznie decydują, że inwestor dokonuje określonego wyboru, tylko, że zainteresowani bezpośrednio do niego dotarli. A więc trzeba wyruszyć w Polskę, szukać kontaktów, przekonywać. W tym celu należy tworzyć lobby, w województwie grupować ludzi, którzy dla rodzinnego miasta byłoby w stanie coś zrobić.

A Lubaczów jest w wyjątkowo trudnej sytuacji. Miasto się wyludnia. Młodzi uciekają w świat. Przybywa emerytów, społeczeństwo miasta się starzeje. W ślad za tym pogłębia się marazm i zubożenie, rośnie poczucie beznadziejności.

Tymczasem niewiarygodna cisza wokół tej kwestii. Nikt z władz nie bije na alarm, nie woła o zdecydowane działania, nie bierze do galopu parlamentarzystów. Nie sposób usłyszeć z ust wójtów, burmistrzów, starosty zawołań, że jest źle, że nie możemy wobec tej kwestii przechodzić obojętnie, że brak pracy to dramat wielu ludzi. Aż cztery osoby z powiatu lubaczowskiego zginęły w wypadku samochodowym pod Gliwicami. Wszyscy właśnie za pracą jechali do Niemiec.

A przecież kwestia ta winna być jednym z wiodących tematów dla samorządu. Na ten temat winne być organizowane dysputy, spotkania, seminaria. Po prostu dyżurnym tematem winno być szukanie dróg, jak zmniejszać bezrobocie.

Dla usprawiedliwienia wśród władz samorządowych powszechny jest pogląd, że szukanie inwestorów to nie jest statutowe zadanie samorządu miasta. Oczywiście można tak na usprawiedliwienie powiedzieć. Równocześnie jednak nie ma żadnych prawnych przeciwwskazań przed zabiegami o nich.

Nieależnie od poszukiwań inwestorów z zewnątrz, zielone światła winno być stwarzane dla miejscowych przedsiębiorców. Ludzie wracają z zagranicy mają pieniądze i wielu z nich pragnie zainwestować. Ale często czują się bezradni, gdyż nikt nie podaje im pomocnej ręki. A przecież to oni winni być w centrum zainteresowania miejscowych władz.

Wprawdzie burmistrz Lubaczowa Krzysztof Szpyt, w wywiadzie prasowym dla „Kresowiaka”, rozpoczynając urzędowanie, złożył wielce obiecującą i cenną deklarację, że *najważniejszą dla mnie kwestią będzie kreowanie takiego rozwoju gospodarczego miasta, który przyniesie nowe miejsca pracy*. Wielka szkoda, że burmistrz o przyrzeczeniu zapomniał. Nader groźna jest nuta samousprawiedliwienia: można odnieść wrażenie, że władze samorządowe zaakceptowały ten stan, pogodziły się z sytuacją i uważają ją za normalną. A problem braku pracy jest wyolbrzymiany.

Nie powinno dla miasta, powiatu być ważniejszej kwestii, niż tworzenie nowych miejsc pracy. W tym względzie niezbędna jest pełna determinacja władz, woła tworzenia wspólnego frontu gromkiego nawoływania na alarm, wykorzystanie wszystkich możliwych środków i możliwości. A tymczasem cisza i nieporadność.

Marian Ważny

Koronawirus w powiecie ruszył ze zdwojoną siłą

Kiedy w dwóch ostatnich swoich artykułach pisałem o koronawirusie i nauce w szkołach w powiecie lubaczowskim, nie zdawałem sobie sprawy, że sytuacja w tych obszarach tak dynamicznie się zmieni i to niestety na niekorzyść. Być może (piszę to 2.11) zanim ten numer „Kresowiaka” dotrze do czytelników, podane przeze mnie informacje i komentarz też będą już niezupełnie aktualne, bo wszystko zmienia się z dnia na dzień, zwłaszcza że w tle walki z koronawirusem pojawił się temat ogólnopolskich demonstracji przeciwko wyrokowi TK. Rząd wprowadził szereg nowych obostrzeń, nie zawsze do końca przemyślanych, takich jak zamknięcie z dnia na dzień lokali gastronomicznych, siłowni, basenów, klubów fitness, zakaz wychodzenia bez opieki młodzieży do lat 16, a 30.10. o godz. 16:00 zamknięcie cmentarzy. Spowodowało to dodatkowo ferment społeczny. Zaczniemy więc od wiadomości z własnego podwórka.

Powiat lubaczowski długo uchodził za zieloną strefę, w której groźny wirus tylko sporadycznie atakuje. Od szeregu tygodni nie odnotowywano zakażeń bądź były to sporadyczne przypadki. Niestety należało oczekiwać, że skoro lubaczowski znalazł się w otoczeniu powiatów, gdzie liczba zakażeń jest dużo większa (jarosławski, tomaszowski, biłgorajski) oraz granicy z Ukrainą, to prędzej czy później, na skutek przemieszczania się ludności, i nas to nie ominie. Na dzień dzisiejszy (2.11.2020 r.) stwierdzono 23 przypadki zakażeń, co w sumie od początku pandemii zamyka się liczbą 425 osób. Wyzdrowiało 166, zmarło 11. Na kwarantannie przebywa 693 osoby. Liczby te są tylko statystyką i nie odzwierciedlają faktycznej skali zakażeń.

Według opinii wielu fachowców podawane wiadomości o stanie zakażonych w ciągu ostatnich dni należy pomnożyć przez 10, co sprawia, że na 55 tys. mieszkańców powiatu lubaczowskiego 1 na 100 jest zakażony. Wśród tych osób może być ukrytych ok. 80% tzw. bezobjawowców, którzy zarażają innych, nic o tym nie wiedząc. Zastanawia fakt bardzo wysokiego współczynnika wykrywalności testów pozytywnych (80-90%) w całym województwie podkarpackim i także u nas. Na badania są kierowani pacjenci, u których występują wyraźne objawy choroby. To sprawia, że nie mamy prawdziwego obrazu sytuacji. Na ostatniej sesji Rady Powiatu (30.10) dyrektor Sanepidu informował, że sytuacja jest pod kontrolą. Brak jednak informacji o głównych ogniskach zakażeń. Wg danych z PSSE z 1.11.2020 r. liczby osób przebywających na kwarantannie i izolacji kształtują się następująco: M. Lubaczów: 169/100; Gminy: Lubaczów: 98/30; Cieszanów: 88/24; Horyniec-Zdrój: 49/9; Narol: 54/18; Oleszyce: 132/33; Stary Dzików: 34/11; Wielkie Oczy: 40/15. Obecnie w przestrzeni publicznej funkcjonuje pogłoska o zakażeniach w szpitalu powiatowym, grupie ludzi uczestniczących na imprezie w Różańcu oraz w Zakładzie Wychowawczym w Lubaczowie. Jest też wiele przypadków rozproszonych i nie jest możliwe stwierdzenie, kto się od kogo zaraził. Na tle innych powiatów podkarpackich nie wypadamy jeszcze źle, bo na 20 powiatów jesteśmy na czwartym miejscu z najmniejszą liczbą zakażonych.

Chciałem na koniec podzielić się z czytelnikami osobistymi przemyśleniami wynikającymi z własnych obserwacji oraz wiedzy nabytej z mediów i na forach społecznościowych. Posiłam się tutaj opinią znanego polskiego lekarza, od kilkunastu lat pracującego w Niemczech. Jego posty szybko znikają z Facebooka, bo nie podobają się naszym rodzimym fachowcom. Twierdzi on, że dobrej klasy maseczki ograniczają transmisję koronawirusa o 20%. Powinniśmy po każdym pobycie w przestrzeni publicznej zmieniać je kilka razy dziennie! Noszenie maseczek jednorazowych po kilka dni lub nawet tygodni, na skutek nagromadzenia się na nich wirusów, odnosi wręcz odwrotny skutek. Z drugiej strony nie każdego stać na wydatek kilkunastu złotych dziennie. W tej sytuacji, kiedy nie możemy sobie pozwolić na ponowne zamknięcie w domach, wydaje się nieuniknione, że wirus osiągnie ogromnej części populacji. Taki jest jego wyrafinowany cel. Cóż nam więc pozostało? Przede wszystkim chronić osoby starsze i schorowane poprzez zminimalizowanie ich kontaktów w przestrzeni publicznej, tworzenie wszelkiego rodzaju pomocy (wolontariat), ograniczenie wizyt i uczestnictwa w imprezach rodzinnych. Taką cenę musimy niestety zapłacić.

Ryszard Kaczka

cd. ze str. 1

ODSZEDŁ ALFRED MARZEC...

Zarządu Oddziału w Lubaczowie oraz wiceprzewodniczącego Powiatowej Rady Kombatanckiej przy staroście lubaczowskim. Był również członkiem Zarządu Okręgowego Związku Inwalidów Wojennych w Rzeszowie.

Za swoją działalność i zasługi został odznaczony: Brązowym, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Pro Memoria, Złotą odznaką honorową ZIW i RP, Krzyżem 100-lecia Związku Inwalidów Wojennych RP, Odznaką za Zasługi dla Związku Kombatanów RP i BWP.

Zarząd Oddziału Związku Inwalidów Wojennych RP w Lubaczowie złożył wyrazy współczucia dla bliskich Alfreda Marca oraz jego rodziny.

Na pogrzeb przybył Józef Bojarski – członek Zarządu Okręgowego Związku Inwalidów Wojennych RP w Rzeszowie, prezes Związku Inwalidów Wojennych Oddział w Przemyślu, Zdzisław Kilon zastępca prezesa Zarządu Okręgowego Związku Kombatanów RP i BWP w Przemyślu. W pogrzebie uczestniczyli również kombataneci z Lubaczowa, na czele z Eugeniuszem Hukiem, prezesem Związku Kombatanów RP i BWP, jak też pełniącym funkcję prezesa Związku Inwalidów Wojennych RP Oddział w Lubaczowie, Bronisław Szuper ze Stowarzyszenia Wspierającego Polskich Kombatanów z Horyńca Zdroju oraz ze sztabem Jednostki Strzelców im. gen. Kustronia z Lubaczowa.

Zegarlicki Roman, reporter.horynieczdroy.pl

Protest w Lubaczowie

Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego o zaostreniu prawa aborcyjnego wywołało w całym kraju protesty. Manifestacje odbyły się nawet w małych miastach i nie ominęły Lubaczowa. Miasto to ze względu na skalę protestu wymieniały kilkakrotnie media centralne, „Gazeta Wyborcza” zamieściła obszerny artykuł ze zdjęciem z manifestacji.

Powiat lubaczowski uchodzi za bastion PiS. Nieprzypadkowo miasto odwiedził prezydent Andrzej Duda. Wprawdzie w samym Lubaczowie obóz władzy miał niższe notowania niż w terenie, to jednak ten wynik był wysoki. Młodzież tutaj zawsze była na uboczu. W życiu społecznym rej wodzili starsi, to oni dominowali na wiecach, manifestacjach. Ostatnio wszystko się zmieniło. Sprawy w swoje ręce wzięli młodzi.



Pierwszy protest kobiet w Lubaczowie, którego organizatorami byli m.in. działacze Lewicy, odbył się w sobotę (24.10). Udział w nim wzięło ponad 100 osób. Okazało się, że zgromadzenie to było tylko początkiem jeszcze liczniejszego protestu, do którego doszło w niedzielę (25.10), w którym wzięło udział prawie 800 osób. Następnie 28 listopada według organizatorów w proteście uczestniczyło 1200 osób. Uczestnikami byli głównie młodzi ludzie. Protest miał charakter pokojowy i sprowadzał się do wspólnego spaceru ulicami miasta. Protestujący w rękach trzymali plakaty i transparenty odnoszące się do wyroku Trybunału Konstytucyjnego z napisami: „Myślę, czuję, decyduję”, „Kiedy Państwo mnie nie chroni, moje siostry będą bronić”, „PiS OFF”, „Murem za kobietami”, „Nie będziemy ofiarami, wypierdać”.

Zapalone zostały również znicze pod biurem posłanki PiS Teresy Pamuły, a także pod budynkiem starostwa powiatowego w Lubaczowie. Manifestujące kobiety akcentowały, że chcą być niezależne i móc same o sobie decydować. Domagały się też przywrócenia poczucia bezpieczeństwa, które – ich zdaniem – zostało im odebrane.

Ryszard Kaczka

cd. ze str. 1

Teatr „Arka Lwowska”...

„Wesoła Lwowska Fala”, która słuchana była w całym kraju przez miliony słuchaczy. Zmarł w 1972 r. w Londynie.

Przyszłedł wrzesień 1939 r., Armia Czerwona wkroczyła do Polski. W. Budzyński wraz aktorami audycji przez granicę rumuńską uszedł na Zachód; utworzony przez niego teatr dawał występy w obozach internowanych żołnierzy polskich. W latach 1951-1963 mieszkał w Monachium, pracował w Radio „Wolna Europa”. Zmarł w 1972 r. w Londynie.

Na jubileusz 25-lecia teatru obejrzelismy „Arkę Lwowską na Wesołej Lwowskiej Fali”. I teraz znów odżył tamten klimat, bałak (szczególna gwara), piosenki lwowskie, tańce, specyficzny humor, a przede wszystkim miłość do życia i swojego miasta. Akcja wodevilu toczy się we Lwowie. Bogaty rzeźnik Alojzy Zulca (grany przez ks. Józefa Jana Dudka) prawi komplementy Jance (Joanna Antonik), córce właścicielki piekarni parowej Kunegundy Kminkowej (Alicja Antonik), wdowa myśli, że to jej. Właściciel zakładu pogrzebowego Sylwester Wesoły (Mariusz Łeski) też zaleca się do Janki. – Mam gotówkę dość sporą, gdyby połączyć dochody piekarni i zakładu pogrzebowego, byłaby niezła kalkulacja finansowa. Gdyby tylko Jancia zrozumiała wolę matki – mówi. Ta kocha się i wybiera studenta Jerzego Bratkowskiego (Łukasz Boćko).

Tytułowa bohaterka wodevilu, preclarka Helcia (Elżbieta Batycka) sprzedaje kosze precli, jest ważną postacią, bo w piosence o niej słyszymy: „Preclarka z Pohulanki ze Lwowem jest per ty / Zna ją magistrat banki, ulice, dzieci, psy / Więc idzie jak królowa przez wierne miasto swe / Zdobyła już pół Lwowa, czy przez precle, kto wie”. Ona wychodzi za mąż za piekarza Franka Drzazgę (Andrzej Rempoła) i zakładają swoją piekarnię. To nagroda za przyjęcie dziecka. Piekarz Franek znajduje je, a przy nim kartę: „Litościwy Znalazco! Weź pod opiekę tego małego miglancza, któremu nie mogę dać ani domu, ani żarcia. Sama jestem bezdomna i bez pracy”. Dziecko zostało adoptowane. Służąca S. Wesołego – Mańcia (Felicja Rempoła) najmuje się do pracy u A. Zulca, ale po pewnym czasie wraca do właściciela zakładu pogrzebowego, bo bogaty rzeźnik kuma się z K. Kminkową.

Nie zabrakło w wodevilu batiarów lwowskich, jest malarz Lolko Świc (Marian Rawski) i murarz Dziunek Okrutny (Waldemar Procyk). Lwów kochał swoich batiarów – zuchwałych uliczników, fajnych, rezolutnych chłopaków, nikt nie pozwalał ich nazywać chuliganami, przestępcami czy bandytami. Przeciwnie, cechował ich wielki patriotyzm, jak głoszą piosenki: „Batiar jak trza, to życie swe da”, „Batiar swej ziemi bronił jak lew / Okopem była mu każda nora / A medalem jego to krew”, „Poszli batiały, poszli na bój / Jeden z bagnietem, drugi z armatą / Za honor mój oraz twój”, „Tak kocham Lwów, że brakuje mi słów”. Niejedna panienska z poważnej rodziny marzyła o takim romantycznym i awanturniczym kawalerze. Patriotyczną postawą wykazuje się A. Zulca, który na święto 3 Maja wywiesza flagę państwową i bierze udział w pochodzie.

Lwów był miastem wielu narodowości, kultur, wyznań. Jest więc w wodevilu pocziwy Żyd, handlarz Handetes (Lesław Czekalski), sprzedający używaną odzież i katarzyniarz Piotr Wojtasik, sprzedający losy oraz lwowianka Bożena Hałucha-Mach. Scenografię do tego wodevilu zaprojektował Stanisław Sobczyk, choreografię – Monika i Tomasz Jezuit, a opracowaniem muzycznym zajęli się Piotr Batycki i Marek Majcher. Oni też grali w 6-osobowej Kapeli Lwowskiej.

Wodevil „Preclarka z Pohulanki”, wyreżyserowany przez ks. kan. Józefa Dudka, jest kolejnym przykładem, jak teatr „Arka Lwowska” przyczynia się do przekazania wielkiej spuścizny kulturowej Lwowa i Kresów. Teatr kochany przez lubaczowian, jego grane sztuki oglądane są przez licznie przychodzącą publiczność. Ma swoich zwolenników nawet w Warszawie, jak poeta Ernest Bryll, który napisał: „Bo tam jest „Arka Lwowska” sklecona porządnie, mocna, niezatapialna”. I życzenia: „Więc płyn „Arko Lwowska”, ratuj polską poezję”. I my tego życzymy – ratuj polską kulturę.

Adam Łazar

MOJE LO W LUBACZOWIE 1970-1974

Po ukończeniu szkoły podstawowej w Narolu (z krótkim epizodem w Lipsku, gdy się okazało, że dla dzieci z PGR-u w Narolu nie było miejsca) wylądowałem w Lubaczowie. Miasto nie było mi obce, bo wcześniej uczyla się tam moja mama Cecylia i starszy brat Ryszard, więc znałem Lubaczów z ich opowieści. Poza tym w Lubaczowie mieszkała rodzina mojej chrzestnej matki, ciotki Janiny Głazowej. Jak się okazało, to była też jedyna możliwość, by zacząć naukę w liceum ogólnokształcącym bez konieczności dojazdu.

W internacie nie było dla mnie miejsca, więc na rok zamieszkałem u Głazów, którzy mnie przygarnęli pod swój dach, choć wówczas dom mieli mały (dzisiaj na dawnym ogródku wybudowali wspaniałą dwupiętrowy budynek) i własnych dzieci sporą gromadę. Ale i dla mnie miejsce się znalazło, a najstarszy syn Stanisław zgodził się dzielić ze mną swój tapczan. Takie to były czasy. Ludzie nie tylko mieścili się w jednym pomieszczeniu, ale bywało, że dzielili ze sobą łóżka. Wcale mi to nie przeszkadzało, by przed snem przeczytać kilkadziesiąt stron kolejnych książek, od beletrystyki po całkiem porządne podręczniki akademickie z historii literatury polskiej.

Wybór ogólniaka, jak to się popularnie mówiło, nie był w naszej rodzinie czymś oczywistym. Starszy brat Rysiek, o którym wspominałem, uczył się konkretnego zawodu w szkole zawodowej, a starsza siostra Janina od roku uczyla się w liceum ekonomicznym w Przemyśle. Zdecydowałem się akurat na ten typ szkoły, bo za bardzo nie wiedziałem, co chcę w życiu robić, więc szkoła średnia o profilu ogólnokształcącym wydała się najbardziej odpowiednia. Był to profil matematyczno-fizyczny, więc nacisk był położony na przedmioty ścisłe, matematykę, fizykę, biologię i chemię. W istocie w pierwszych latach właśnie te dziedziny mocno mnie zajmowały, choć od początku z zacięciem spoglądałem w kierunku literatury. Jak się niebawem okazało, to ona mnie ostatecznie uwiodła.

Ale wróćmy na moment do chwili wyjazdu z narolskiego PGR-u do szkoły. Jak sobie dobrze przypominam, towarzyszyła mi mama, która chciała mnie ułożyć u Głazów. Jednak nie udało nam się zabrać z kolejnymi autobusami (takie to były czasy, że chętnych do jazdy było więcej niż autobusów). Dopiero gdy na przystanku zobaczył nas dyrektor PGR-u, Tymoteusz Nowak, który akurat wybierał się do Lubaczowa, zabrał nas, wyrażając przy tym zdumienie, że „to to takie małe” już do szkoły średniej się wybiera. Byłem w istocie posturą raczej mizernej i zdumienie było jak najbardziej uzasadnione.

Po tej szczęśliwie zakończonej przygodzie transportowej wylądowałem na kwaterze u Głazów i zacząłem pobierać nauki w pobliskiej, a właściwie sąsiedzkiej szkole. Był to duży budynek, nowoczesny, z dobudowanym

skrzydłem i świetnym boiskiem sportowym. Nasza szkoła przylegała do cmentarza żydowskiego. Być może była wybudowana nawet na części dawnych macew. Faktem jest, że z okna sal szkolnych widzieliśmy pozostałości tego cmentarza, a nawet, wstyd się przyznać, chodziliśmy tam niekiedy na wagary.



*Zdjęcie ze studniówki 1974.
Stanisław Obirek i Teresa Hejnowicz*

Czas dzieliłem między szkołę i życie rodzinne Głazów, którzy mnie przyjęli jako jeszcze jedno z rodzeństwa, co było tym łatwiejsze, że bliźnięta Marysia i Janek byli moimi rówieśnikami i chodzili do tej samej szkoły. Poza szkołą fascynowała mnie olbrzymia, licząca setki uli, pasieka wujka Władysława. To był prawdziwy przemysł. Wujek nie tylko zbierał miód (oczywiście służyły mu do tego pszczoły!), ale znany był również z hodowli pszczeli matek, produkcji bardzo przydatnego w lecznictwie kitu, no i wielu innych przyległych do wspomnianej pasieki zatrudnień. Faktem jest, że był to świat fascynujący, może nawet bardziej niż sama szkoła.

Po roku jednak miejsce w internacie się zwolniło i zamieszkałem właśnie tam. Głównym miejscem pobytu była licząca kilkanaście łóżek sala oraz czytelnia, w której spędzaliśmy czas na nauce. W trzecim roku przenieśliśmy się do nowego budynku, gdzie już w sypialni było własne łóżko i czytelnie były znacznie lepiej wyposażone. Z kolei w ostatnim, maturalnym roku przenieśliśmy się z internatu na kwaterę prywatną do kolegi Waldka Macha, który mieszkał tylko z ojcem i chętnie udostępnił mi wolny pokój. Umowa była taka, że ja Waldkowi pomagam w przygotowaniu do matury, a on zapewnia mi darmowy kwaterunek. Byłem z tego układu bardzo zadowolony, bo tłoczny internat zamieniłem na komfortowe mieszkanie jednorodzinne.

O samej nauce mógłbym się długo rozpisywać, bo lata spędzone w liceum ogólnokształ-

cącym w Lubaczowie, jak pewnie dla każdego, łączą się nie tylko ze zdobywaniem wiedzy, ale i pierwszymi miłościami i zawodami miłosnymi, ale też z pierwszymi przyjaźniami, z których niektóre przetrwały do dzisiaj.

Chciałbym jednak wspomnieć o moim zaangażowaniu w harcerstwo, które w pierwszej klasie bardzo mnie pochłaniało. Byłem drużynowym i prowadziłem grupę harcerzy ze szkoły podstawowej. Przełożeni docenili moje zaangażowanie i po pierwszej klasie wysłali mnie na obóz harcerski (to było wielkie wyróżnienie, bo byłem jedynym przedstawicielem naszej szkoły) do Brzuchowic koło Lwowa. Byłem w grupie kilkunastu harcerzy z województwa rzeszowskiego, a trzon obozu stanowiło kilkuset pionierów i pionierek z całej Rosji (załączam zdjęcie naszej polskiej grupy). To był mój pierwszy wyjazd za granicę, w czasie którego mogłem praktykować mój pierwszy obcy język, czyli rosyjski. O tym doświadczeniu myślę z dużą nostalgią. Te doświadczenia przydały mi się również bodajże w trzeciej klasie, gdy zostałem wybrany (czy mianowany, już tego nie pamiętam, jaka była procedura) przewodniczącym szkoły.

Pamiętam, jak udało mi się przekonać dyrektora Stanisława Gaciara do organizowania dyskotek w szkole. Tłumaczyłem mu, że lepiej by młodzież bawiła się w murach szkolnych, bo to zawsze bezpieczniej. Jakimś cudem dał się przekonać i te dyskoteki odbywały się dość regularnie. Najlepiej pamiętam oczywiście studniówkę, z której mi się zachowało zdjęcie, które również załączam do tego tekstu (stoję z koleżanką z klasy Teresą Hejnowicz, a z tyłu widoczna jest Marta Abramowicz, również koleżanka z klasy). Marta już niestety nie żyje, a Teresa jest znaną polityczką Podkarpacia.



*Zdjęcie z obozu harcerskiego
w Brzuchowicach k. Lwowa 1971*

Wracając do szkoły, chciałbym napisać o obudzonych przez polonistkę Katarzynę Cibicką zainteresowaniach literaturą. Stało się to dla mnie prawdziwą pasją życiową, dzięki której zająłem jakieś godziwe miejsce na olimpiadzie wojewódzkiej w Rzeszowie i dzięki temu wylądowałem na studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Polonistyki ze specjalizacją teatrologia i to bez egzaminu. Ale to już inna historia, do której może kiedyś wrócę.

Stanisław Obirek

LUBACZÓW STOLICĄ POLSKIEGO RYSUNKU WSPÓŁCZESNEGO

W niedzielę 11 października 2020 roku w Galerii Oficyna w Zespole Zamkowo-Parkowym przy Muzeum Kresów w Lubaczowie nastąpiło uroczyste otwarcie jubileuszowej pokonkursowej wystawy Triennale Polskiego Rysunku Współczesnego – Lubaczów 2020.

Dyrektor Muzeum Kresów w Lubaczowie Piotr Zubowski powitał gości, m.in. Annę Huk – członka Zarządu Województwa Podkarpackiego, Zenona Swatka – starostę lubaczowskiego, Waldemara Janusza Zubrzyckiego – wiceburmistrza Lubaczowa, przybyłych artystów, przedstawił jurorów i ich werdykt. Jury konkursu w składzie: Leszek Mądzik (przewodniczący, profesor sztuk plastycznych, twórca sceny plastycznej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego), Piotr Kielan (profesor sztuk plastycznych, rektor Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu), Antoni Nikiel (dr hab., dziekan Wydziału Sztuki Uniwersytetu Rzeszowskiego), Bogdan Topor (profesor sztuk plastycznych, pracownik Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach), Stanisław Piotr Makara (wieloletni dyrektor Muzeum Kresów w Lubaczowie, pomysłodawca Triennale, od 1993 r. kurator wszystkich wystaw pokonkursowych), dokonało selekcji nadesłanych 360 prac na konkurs od 137 artystów i wybrało 82 rysunki 62 autorów do wystawy pokonkursowej.



Otwarcie wystawy X Triennale Rysunku Współczesnego

Jurorzy przyznali nagrody i wyróżnienia. Za zestaw prac „Strefa Naznaczona” nagrodę Grand Prix otrzymał Dobiesław Gała, doktor sztuki i adiunkt na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. I nagroda została przyznana Piotrowi Zaczekowi z Warszawy za zestaw prac „Gloria” i „za reżim warsztatowy i klarowność przekazu”. Zdobywca nagrody jest asystentem w Pracowni Grafiki Warsztatowej w Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych w Warszawie. II nagrodę otrzymała Olga Ząbroń za zestaw prac „Bez tytułu” i „za subtelność zastosowanych środków przekazu”. Jest absolwentką Wydziału Malarstwa ASP w Krakowie, doktorem sztuki i pracownikiem tejże uczelni. III nagroda powędrowała do Andrzeja Jana Batora za zestaw prac: „Regaty”, „Układ Synchroniczny”, „Cisza” i „za podniesienie wartości technicznej na poziom czystej ekspresji estetycznej”. Jest on absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Wyróżnienia zdobyli: Andrzej Desperak, Jan F. Ferenc, Violetta Kulikowska-Parkasiewicz, Robert Olaszowski, Emilia Pitucha. Nominacje otrzymali: Ita Haręza, Jan Trojan, Anna Bielnik, Marcin Piotr Surzycki i Tomasz Tobolewski.

Obecna dziesiąta edycja przeglądu stawia lubaczowski konkurs wśród nielicznych trwających nieprzerwanie, mimo że organizowany jest w mieście odległym od dużych ośrodków kulturotwórczych. Lubaczów jest stolicą polskiego rysunku współczesnego. Miastem sztuki. Dzięki temu konkursowi Muzeum Kresów w Lubaczowie ma jedną z największych kolekcji współczesnego rysunku, najlepszych artystów z Polski. Prace nagrodzone i wyróżnione zostają własnością tej placówki kultury. W konkursach biorą udział liczni artyści z dużym dorobkiem twórczym, a także młodzi, dla których udział w imprezie jest jedną z pierwszych okazji do sprawdzenia siebie i swego talentu. Liczny udział artystów w Triennale świadczy o niesłabnącym zainteresowaniu lubaczowskim konkursem.

Adam Łazar

MIASTO RZUCA UROK

W letni pogodny dzień zjawiasz się w miasteczku. Opuściłeś go jako pacholę i po skończonych studiach zwabiła cię metropolia. Magia do miejsca, gdzie się urodziłeś, ciągnie cię tutaj na święta, na uroczystości rodzinne, w tym na wesela i pogrzeby. Przybywasz też niespodziewanie gnany sentymentem do kraju lat dziecińczych. Idziesz ulicą stanowiącą promenadę miasteczka i spotykasz radosne pozdrowienia znanych ci przechodniów. Ten i ów wita się z tobą. Kurtuazyjnie pytasz, co to nowego, i po wysłuchaniu relacji podejmujesz pogawrkę z kolejną osobą. Masz satysfakcję, że wzbudzasz zainteresowanie, że jesteś rozpoznawalny. Rodzi się u ciebie sympatia do tego miasta, do stareńkich jego murów. Miasto w blasku słońca pięknieje w twoich oczach, mające jakiś nieuchwytny czar. Wbrew pozorom Lubaczów ma coś w sobie, co przyciąga, czasem irytuje, złości, ale i sprawia radość, satysfakcję, że się jest mieszkańcem tego miasta.

Wielokrotnie, bezskutecznie starałeś się o nim zapomnieć, bo szarzyzna, bo brak tu dla twoich krajanów pracy i jednocześnie ciągle pragnąłeś do niego wrócić, bo urzeka cię jego urok i posmak tradycji. Zawsze zwyciężała myśl, że na całej ziemi nic nie jest tak wyraźne w twoich myślach, jak to miasteczko. Jest coś więcej niż ten wabiący urok, coś, czego nigdy nie potrafiłeś sformułować, coś, czego nigdy nie widziałeś, o czym nigdy nie czytałeś. Całe miasteczko to wspaniała uczta. To, że z tym miastem należy się zmierzyć, czyni je nieustannym w twojej pamięci. Nawet opasłe tomisko książki można by było napisać o tym miasteczku. Niby wszystko jak na dłoni. Znać myśli, tęsknoty, kłopoty znajomych, a mimo to jest ono nieodgadnione.

Małe miasta mają to do siebie, że nie trzeba nadto się wysilać, by wszyscy w okamgnieniu poznali czyjeś życie ze szczegółami – pisze pisarz Paulo Coelho. – W małych miastach jest tyle kin, ile okien w domach. Filmy oglądane są na ekranach okien, wyświetlane są przez cały dzień krótkometrażówki obyczajowe, przygodowe, romantyczne, komediowe i dramatyczne – czytamy w książce „Wenus w małym miasteczku” autorstwa Macieja Józefa Komonowicza. W zasięgu wzroku są tu wesela i kondukt pogrzebowe w odległości tak bliskiej, że nie można być posądzonym o podglądactwo. Liczą się tu również znajomości tylko z „widzenia”, których jest tysiące. Jednakże bliskie relacje wymuszają podporządkowywanie się kontroli społecznej. Pozornie wydawać się może, że małe miasto, to ciche, spokojne życie. Ludzie latami przyzwyczajają się do tych samych widoków budynków, do tych samych twarzy. Każdy wie, że wychodząc rano na ulicę, spotka tych samych co wczoraj sąsiadów. Tematyka poruszanych rozmów też bywa podobna. Rutynowe „co słyhać” i dzielenie się nowinami, które mają potwierdzać, że wszystko jest jak dotychczas.

Nie sposób w mieście spotkać osobę, z którą nie miałbyś wspólnych znajomych. Wprawdzie jeśli tu mieszkasz, nie znasz wszystkich mieszkańców, ale znanych jest ci setki osób, z którymi masz styczność. Poczynając od miejsca pracy, a na sąsiadach, ekspedientkach, lekarzach, urzędnikach skończywszy. To oni stanowią spoiwo łączące miasto z tobą i pozwalające myśleć, że jest ono twoje.

Ty wiesz wszystko o miasteczku, a ono wie wszystko o tobie. Nie ludź się, gdy późnym wieczorem chwiejnym krokiem wracasz z balangi albo od kochanki, że cię nikt nie zauważy. Wystarczy tylko jedna napotkana osoba, a już w błyskawicznym tempie dowiaduje się o twoim wyczynie kolejnych kilkanaście osób, które bez zwłoki przekazują wieść swoim znajomym.

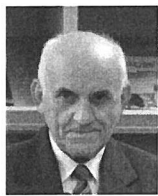
Chociaż brak takiej więzi jak dawniej, chociaż życie uległo dalekiej atomizacji, chociaż uszczuplił się krąg naszych przyjaciół i znajomych, to jednak coś z romantyki małego miasta pozostało. Wciąż odczuwalny jest tu duch bliskości, wspólnoty. Nigdy tu nie jesteś sam. Nie sposób tu wyjść na ulicę, aby nie spotkać osoby znanej chociażby tylko z widzenia. A z wieloma napotkanymi wiązą nas bliższe relacje.

Marian Ważny

KRESOWIAK GALICYJSKI

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów, ul. Leśna 9, tel. kom. 661 631 213
Wydawca: Wydawnictwo Kresowiak, Rzeszów, ul. Zbyszewskiego 8/25, kom. 661 631 213
Redaktor naczelny: Marian Ważny
Zastępca redaktora naczelnego: Lidia Świder (lidiaswider@poczta.fm)
Współpracują: Wiesław Kotodziej, Zbigniew Wróbel, Jan Zuchowski,
Adam Łazar, Zygmunt Florczak, Edward Dziaduta, Ryszard Kaczka, Piotr Zaborniak,
Henryk Wolańczyk, Adam Wolańczyk
e-mail: kresowiakgalicyjski@wp.pl
Druk: „Bonus Liber” Sp. z o.o. Drukarnia i Wydawnictwo Diecezji Rzeszowskiej,
35-020 Rzeszów, ul. 17 Pułku Piechoty 7, tel. 17 852 59 38, kom. 790 804 406,
www.bonusliber.pl, e-mail: biuro@bonusliber.pl

Moje spotkania z kulturą (III)



Wyszedłem z inicjatywą założenia kapeli w Lubaczowie. Odbyłem w tej sprawie rozmowę z dyrektorem Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia Józefem Czajkowskim. Dogadaliśmy się. Została założona Kapela Podwórkowa „Belfry”. Za związkowe pieniądze zakupiliśmy dla niej marynarki w kratę, apaszki, czapki. Nauczycielka z Jarosławia Zofia Karwańska i inni napisali satyryczne teksty o oświacie i nauczycielach, Dorota Bolechowska o Lubaczowie, nauczyciele szkoły muzycznej do tych tekstów melodie. W tej Kapeli Podwórkowej grali i śpiewali: Ryszard Baran, Józef Czajkowski, Marian Koba, Zofia Słonec, Bronisław Stępień, Marian Świech i Tadeusz Zawitkowski. Po raz pierwszy wystąpiliśmy na tym Przeglądzie w 1977 r. w Łańcucie. Własny styl, specyficzna forma, oryginalne teksty i melodie wniosły ożywienie do programu i zyskały uznanie publiczności.

Zadebiutował także w tym roku Zespół Akordeonistów z Przeworska i kabaret z Łańcuta. Nasza Kapela Podwórkowa zrobiła furorę. Tego gatunku muzyki wśród nauczycieli nie było w tych czterech województwach, z których powstało obecne woj. podkarpackie. W kolejnych latach Kapela Podwórkowa „Belfry” występowała na Przeglądzie w Przeworsku (woj. przemyskie), Jaśle (woj. krośnieńskie), Opatowie (woj. tarnobrzeskie), Jarosławiu. Jako gość specjalny, na zaproszenie Ośrodka Usług Pedagogicznych i Socjalnych w Lublinie, wystąpiła na IV Międzywojewódzkim Przeglądzie Nauczycielskich Zespołów Artystycznych 18 listopada 1979 roku w Chełmie. Utwory zespołu prezentowała Telewizja Rzeszów, Telewizja Polska program II oraz Radio Rzeszów.

Wraz z przeglądem zespołów artystycznych organizowane były wystawy dorobku artystycznego nauczycieli. Poprosiłem nauczycieli z pow. lubaczowskiego, by pokazali na wystawie swoje prace. Prace rzeźbiarskie prezentowali na wystawach: Stanisław Argasiński, Roman Tabaczek, Zbigniew Ciepeliowski, prace malarskie: Janusz Burek, Józef Dobrowolski, Grażyna Mach, Marek Ważny, fotograficzne: Stanisław Smagacz. Praca „Pieta” Józefa Dobrowolskiego zajęła pierwsze miejsce, o czym pisała prasa regionalna. Odwiedzałem Stanisława Argasińskiego – wychowawcę Państwowego Młodzieżowego Zakładu Wychowawczego w Lubaczowie w jego pracowni, w której ze swoimi wychowankami wykonywał rzeźbiarskie prace.

Pisałem dwukrotnie o nim w „Nowinach” w artykule pt. „Rzeźbienie drzewa i ludzi” (nr 1, 2 stycznia 1978 r., s. 4), i z cyklu Ludzie kultury w artykule „Rzeźbiarz i wychowawca” (nr 249, z 1979 r., s. 9), w „Życiu Przemyskim” (nr 43 z 27 października 1976, s. 6) oraz w „Oświacie i Wychowaniu” w artykule „Rzeźbię drzewo i ludzi” (nr 10/1979, s. 46-48). O znaczeniu kultury w pracy pedagogicznej, roli Klubów Nauczycielskich, organizowanych plenerach, pisałem także w „Nowinach” w artykule „Pedagog i kultura” (nr 284, z 22 grudnia 1975 r., s. 4).

Stan wojenny zawiesił działalność związków zawodowych. Nie było jasności, czy związek będzie w przyszłości działał. Powstał drugi, konkurencyjny „Solidarność”. Dlatego od 1 stycznia 1982 r. podjąłem pracę jako Inspektor Oświaty i Wychowania w Lubaczowie. Na to stanowisko mianował mnie Kurator Oświaty i Wychowania w Przemysłu Franciszek Szymański za zgodą obydwóch związków – Solidarności i ZNP. Na stanowisku tym wcześniej pracował Zygmunt Kubrak. Społecznie zajmował się Muzeum Regionalnym PTTK. Muzeum zostało upaństwowione i rozpoczęło prace w wyremontowanym spichlerzu. Otrzymało etaty. Dyrektorem Muzeum Regionalnego został Zygmunt Kubrak. Inspektor Oświaty i Wychowania zatrudniał nauczycieli, wypłacał im wynagrodzenie, oceniał pracę szkół i przedszkoli, zajmował się remontami podległych placówek itp. Był pracodawcą. Początkowo pracowałem sam. Później za zgodą Kuratora powołałem zastępcę. Zastępcą Inspektora Oświaty i Wychowania była Marta Beigert, a po jej odejściu Józef Otulak. Jednostką wykonawczą Inspektora był Miejski Zespół Administracyjno-Ekonomiczny Szkół, którego dyrektorami był Władysław Żmurko, a po nim Władysław Żuk. Odegrali oni znaczącą rolę w pracach inwestycyjno-remontowych SP nr 1 i 2 oraz pięciu przedszkoli. Inspektor Oświaty podlegał bezpośrednio Kuratorium Oświaty i Wychowania w Przemysłu, a nie Naczelnikowi Miasta. Jedną z form działalności Kuratorium były organizowane co roku Przeglądy Dorobku Kulturalnego Szkół Województwa Przemyskiego. Najpierw organizowane były przeglądy w gminach i miastach, a potem najlepsze zespoły występowały w finale wojewódzkim.

Adam Lazar

Wróć

Wróć jeszcze do miasteczka
Do mojego Cieszanowa
Do sadu, ogrodu odpocząć
Przywitać się z najbliższymi
Z starym orzechem, ze studnią
Z której gwiazdy łowiłem
Utopione wiaderkiem
Gdy czytam mój romans z poezją.
Do moich czasów dzieciństwa
Ten powrót będzie radosny.
Przywita mnie las, rzeka, sad
Rozkwitłe łąki zielone
Kasztan na rynku, świątynie
Obłoki, topole, wierzyby
Uklonię się w pas i powiem
Jestem, ja wracam do siebie
Na ziemię dziadków i ojca
Usłyszę, za twoje wiersze
Dziękuję tobie Adamie
Ja twoja matka, jak ziemia
Wracaj odpocznij masz synu
Będę szczęśliwy, szczęśliwy

Adam Wolańczyk



Czy radni gminy w Narolu to uczciwi obywatele?

Podczas sesji Rady Gminnej w Narolu (2020.09.15) uchwalono zmniejszenie pborów burmistrzowi o 50%. Rozumiemy to jako troskę o odciążenie gminy, ponieważ dług jest niesamowicie wysoki.

To radni uchwalili taki dług.

Ciekawi nas bardzo – jaki to nowy zakład pracy zbudowano za te pieniądze w gminie Narol? Oraz ile daje on dochodu i z tego tytułu płaci należne podatki w gminie i Urzędzie Skarbowym?

Lub dlaczego nie zbudowano 350 metrów drogi za Podlesiną, co skróciłoby drogę do szpitala w Tomaszowie Lub. o 6 kilometrów w jedną stronę – czyli z 16 na 9,5 km, gdy do Lubaczowa mamy 32 km?

Jest to „zasługa” nie tylko poprzedniego burmistrza, ale też radnych, którzy musieli ten dług uchwalić, a większość została wybrana również i na obecną kadencję. Rozumiemy, że obecnie zaciągnąć nowy dług jest trudno lub niemożliwe. Rozumiemy, że przyszło samootręźwienie, by szukać oszczędności blisko siebie oraz w samej gminie. Jeżeli tak, to jest to godne pochwały. Potrzeba tylko prostego dowodu w sprawie. Znaczy to, że radni powinni podjąć uchwałę dotyczącą ich samych, czyli zmniejszenia o min. 50% tak zwanej diety, wypłacanej za branie udziału w sesjach – co najmniej do końca obecnej kadencji.

Jeżeli jednak taka uchwała nie zostanie przyjęta – oznacza to tylko i wyłącznie prywatę, co w żadnym wypadku nie powinno mieć miejsca, bowiem radni są wybierani jako ludzie godni zaufania, bezstronni i mający dobro naszej gminy na I miejscu. Dzięki niezależnej prasie, my wyborcy zapamiętamy tych „radnych”.

Jako ciekawostkę należy odnotować, że w połowie kadencji (2007-2009) był jeden radny (J.Z) w Narolu, który 100% diety przekazywał na stypendia dla uczniów gimnazjum i szkoły podstawowej, z wyjątkiem ostatniej, za którą nabył książki (lektury) przekazane do biblioteki szkolnej w Narolu, a techniczne, wydane zanim powstała uczelnia – do politechniki w Rzeszowie.

Z poważaniem,
Jan Wolańczyk, dr Jan Zuchowski

OSĄD

Zapadał zmierzch, wraz z nim pojawiła się mgła strzegąca dostępu do miejsc, które w ukryciu spoczywać winny, oddalonych od tych, które wskazać można, odnaleźć, idąc przed siebie bez celu. Z nadejściem świtu zostaną obnażone, postawione pod pręgierzem osądu ludzi, który błędząc i potykając się na każdym kroku, nie przystaną na czas refleksji najmniejszej. Nie odnajdą miejsca i czasu.

Ciekawość życia drugiego człowieka rzadko dotyka jego myśli. Nieodgadnione zdają się na osady innych. Wypytywanie, dociekanie, towarzysząca im ekscytacja z zasłyszanych wieści przypomina natręctwo umysłu ubogiego, który z tajemnic świata czerpać nie jest w stanie. Prywatność drugiego człowieka jest dla niego o stokroć bardziej fascynująca niż wszechświat, który nie jest zamknięty, wciąż się rozszerza. Na przekór prawom wyznaczonym przez osąd.

W dniu wyznaczonym, wcześniej wielokrotnie przekładanym, doszło do spotkania znanych sobie od lat ludzi, którzy nie doszukiwali się przyjaźni, czekali tylko gościnności. Wiedzieli o sobie wiele, tylko nie od siebie samych, lecz od obcych. Niekiedy spoglądali z zadziwieniem, jeden na drugiego. Siedzieli naprzeciw siebie w jakimś uładzeniu, dalekim od sztywności, nieodnajdującym jednak miejsca w swobodzie myśli czy ruchu, które mogłyby się wymknąć spod kontroli nakazu. Czekali jeszcze na przyście Mateusza. Zaciekał ich niegdyś, kiedy wstał nagle od stołu i odszedł. Przeczuli, że nigdy już nie powróci.

Żyli w świecie, w którym myśli czyjeś można podać na tacy drugiemu jako danie główne, wykwentne, na koniec doprawione kroplą dziegciu i ziarnem gorczycy przez tych, którzy nie czekają potknięcia, lecz upadku. Mateusz nie nadchodził. Wyczekiwali, spoglądając na zegar, który w swym milczeniu nie przyzywał jeszcze na rozpoczęcie spektaklu. Po wybiciu godziny ósmej rozpoczęło się przedstawienie.

Słowa padały nieopatrnie, jak liście zwodzone wiatrem jesienią, nieszukające miejsca. Unoszone jego siłą ponad drogami nieprzebytymi, domami, z których kominów tlił się dym bądź i nie, ponad rzeką, która nie zważała na nie, nie pochłaniała, lecz niosła swym nurtem, porzucając na brzegach. Zgniłe, zatęchłe, odarte z koloru starego złota.

Mateusz budził pewne kontrowersje od samego początku. Zachowanie jego odbiegało od ram nałożonych przez obyczaj, który kazał milczeć w czasie, kiedy opowieść niedokończonego wątku czekała jedynie wysłuchania. Ciął z nagłą zdanie, które zwiastunem nowej myśli nie było, zadając pytanie. Chwile rzadkie, bezcenne. Wszyscy ci, którzy tak wiele mieli do powiedzenia, milkli. Przez pytania, które zadawał innym, mogli dowiedzieć się czegoś o nim samym, nic tak nie zdradza człowieka jak one. Nieliczni niekiedy zdolni byli do pewnego wysiłku, pobudzali swoją wyobraźnię i myśli. Zbyt wiele trudu ich to kosztowało, by postąpić o krok dalej.

Mogli odnaleźć w pamięci chwile, które czekały zapomnienia, wraz z nimi czas odmierzany piaskiem klepsydry, kiedy mieli przed sobą człowieka, którego byli ciekawi. Na wyciągnięcie myśli i dłoni. Wydawali się onieśmieleni, Mateusz wprost wyrażał swoje zdanie, nie kryjąc światopoglądu. Codziennosc drugiego człowieka nie interesowała go w ogóle. Nie był w stanie wtargnąć w czyjeś życie ciężkimi, zabłoconymi buciorami, które mogłyby strącać wszystko, co napotkane będzie na drodze. Pozostawiając ślady obecności niepowołanej i nieproszonej. Inni tak czynili. Szanował czyjąś odrębność, nade



LIDIA ŚWIDER

wszystko postrzeganie świata, które wyróżniało się, wychodząc naprzeciw myślom, których naruszyć prawnik nikt nie śmiał.

Ostatni wieczór spędzony wraz z nim utkwił wszystkim w pamięci. Mateusz wyznał, że jest konwertytą. Zapanowało milczenie, wraz z nim nastała cisza, którą odnaleźć można na cmentarzach o zmierzchu, kiedy wszelkie troski doczesne nie szukają jeszcze miejsca spoczynku. Oznajmił wszem i wobec, że zmienił wyznanie. Nie chciał ich zadziwić, pragnął jedynie pobudzić uśpione umysły. Bezmyślni, którzy nigdy pytań nie zadawali, spoglądali na niego z wyrzutem.

Wstał powoli. Okulary w rogowej oprawce pozostawił na stole przy dogaszającej się świecy. Jedna tam jeszcze rzecz spoczywała, niezauważona. Spojrzał na tych, którzy zamarli na moment jedynie w oczekiwaniu wyjaśnienia. Nie był im nic winien. Nie chciał wchodzić w dialog, tłumaczyć, że to miejsce urodzenia determinuje wiarę. Żaden z nich nigdy się nad tym nie zastanawiał. Tak jak nad rzeczami innymi, określonymi i wyznaczonymi. Był wśród nich Dimitrij z Rosji. Kiedy inni myśleli o swoim kościele, on przed oczyma miał swoją cerkiew.

Dochodziła godzina dziesiąta, wszyscy zebrani rozmawiali już tylko o Mateuszu. W jego obecności nie wymówiliby jednego zdania piętnującego. Nie wyobrażali sobie, jak można zmienić wyznanie. Kiedy mieli sposobność, nie dociekali wątku. Każdy z nich był grzeszny. Osądzali teraz drugiego człowieka, nie mając praw najmniejszych, nie mając umysłu na tyle lotnego, aby wbił się ponad zaściankowość i gnuśność.

Mogli powiedzieć teraz wszystko, co tylko chora wyobraźnia nakreślić mogła. Mały, łysy mężczyzna z binoklem na nosie, który najwyraźniej chciał zwrócić na siebie uwagę, po dwukrotnym odchrząknięciu oznajmił, że Mateusza na ślub swojej córki nie zaprosi. Uznał, że pojawienie się jego mogłoby wzbudzić pewien niesmak. Zawtórowała mu jego żona. Małżeństwo cenionych w środowisku prawników wydało werdykt.

Rzecz zadziwiająca. Człowiek przewyższający swoim intelektem i wiedzą wszystkich tu zebranych mógłby rzekomo wzbudzić niesmak, przez powziętą decyzję, która w żaden sposób nie raniła nikogo z obecnych. Nobliwa starsza pani siedząca wygodnie w fotelu na końcu pokoju wygłosiła krótki monolog. W co drugim zdaniu podkreślała, że od dawien przypatrywała się Mateuszowi z uwagą, mając świadomość, że wkrótce skompromituje nie tylko siebie, ale i rodzinę. Chciała wspomnieć coś jeszcze o jego matce, lecz zmiłkła. Sama była matką.

Jedna decyzja człowieka zaważyła na osądzie innych. Tych, którzy łamali prawo moralne i dekalog. Wybaczyliby prędzej zbrodnię, gwałt i rabunek, niż decyzję przemyślaną, powziętą świadomie, lecz zbyt ciężką do ogarnięcia przez swoją odwagę i sprzeciw.

Mateusz nie powrócił już do towarzystwa w gronie, którego czas spędzony nobilitował. Nie odnajdzie już swojego miejsca w salonie. Zastąpi go ktoś inny, prawiący o swej szlachetności. Na koniec dopowie parę słów o wolności wyboru. Rozwód będzie się dalej. Towarzystwo zastygnie w letargu błogim, tak jak ich myśli w przesycie teorii jedynie. Spędzą dany im czas nad szachownicą, nie wykonując ruchu najmniejszego. Nie zastąpią pionka hetmanem. Jegomość z binoklem nie zapali świecy. Kryształowy żyrandol okryje go większym blaskiem.

Słowa wymierzone przeciwko drugiemu człowiekowi zapadają, na kształt ziarna rzuconego w ziemię. Wydadzą plon, który inni osądzą.

Życie pod kontrolą

Nie ludź się, że jesteś w mieście postacią anonimową, że ludzie się tobą nie interesują, nie wiedzą o twoich kłopotach, że skutecznie strzeżesz swojej prywatności. W małym mieście twoje życie jak na patelni. Ludzie śledzą twoje dokonania, a szczególnej rangi nabierają wszelkie potknięcia. Wiadomo, złe wieści mają skrzydła. Oczywiście tak oficjalnie nikt nie powie, że słucha plotek na twój temat. Stwierdzi nawet, że jest to naganne. Wiadomo, nie wypada komuś zaglądać do garnka czy pod kołdrę.

Uczestniczyłam w imprezie imieninowej, w której była, można powiedzieć, elita miasta, a wśród niej: lekarz, prawnik, urzędnik wyższego szczebla, przedsiębiorca. W rozmowie goście na początku imprezy prześcigali się w prawieniu sobie komplementów. Lekarz chwalony był za troskliwą opiekę nad mamą nauczycielki w szpitalu. Inny z gości wygłosił niemal hymn pochwalny pod adresem obecnego pedagoga, ponieważ córka jej ma u niej same piątki. Wzajemnym przechwałkom nie było końca.

W miarę jednak wychylania kolejnych kieliszków temat, treść rozmów ulegały zasadniczej zmianie. Goście przystąpili do obmawiania znajomych – Wiecie ta... tu padło nazwisko – można powiedzieć, że małżeństwo idealne, razem do kościoła, na zakupy, a zobaczyłam ją wczoraj w samochodzie z innym. Jej mąż za granicą żyły sobie wyprawa, a ona wdaje się w romansik z żonatym. Jej wypowiedź skomentowano: – Znam ją, to kobieta z temperamentem, musi sobie jakoś radzić, a jej chłop w tych sprawach słaby – ze śmiechem skomentował prawnik. Zaczęła się też zgadywanka, kim jest ten żonaty? I tu też padło jego nazwisko. Na „warsztat” zostały wzięte bardziej prominentne w mieście osoby. Omawiana czy obmawiana była ekspedientka, jeden z lekarzy, belfer. Po prostu skakanka po znanych w mieście personach, zbiorowy sąd nad ludźmi.

Gdy opróżnione zostały pierwsze butelki, temperatura dyskursu wzrosła. Temat rozmów stawał się coraz bardziej zadziorny, zaczęły padać ostrzejsze opinie i na „warsztat” zostały wzięte nawet najbliższe osoby z rodziny i zwierzników w pracy. – Mój szef to nadęty bufon, chodzący paragraf, napawa się posiadaną władzą. Najlepszym uznaniem w jego oczach cieszą się pracownicy, którzy przed nim niemal na kolanach.

Ta wypowiedź spotkała się z repliką. – To jednak dobry menadżer, fachowiec – skomentował gość w czarnym garniturze. Odzywa się pani w okularach. – Nie dość, że mój szwagier do naszego domu przyszedł z gołą d., to jeszcze się szarogęsi i domowników usiłują ustawić po kątach. – A tak na zewnątrz robi wrażenie wręcz anioła – dodał lekarz. Kolejni goście też podnosili podobne wątki. Lista osób poddanych ocenie biesiadników była długa i bezkompromisowa.

Oczywiście były przerywniki na śpiewy, na opowiadanie kawałów, nawet o wielkiej polityce rozprawiano. Ale własne miejskie podwórko budziło największe zainteresowanie i emocje.

Padły ostre opinie uzupełniane nawet o pikantne szczegóły, panowała w tej sprawie ogólna szczerość.

Oczywiście rozmowy, plotkowanie o nieobecnych odbywają się nie tylko na imprezach imieninowych. Bez przesady można powiedzieć, że trwa nieprzerwany dyskurs o znajomych. A okazji do tego nie brakuje. Nawet przypadkowe kontakty znajomych na ulicy, w sklepie, również w pracy są okazją do wymiany poglądów o innych.

Najpopularniejszym środkiem przekazu informacji do rozmów stał się telefon komórkowy. Zapewnia on intymność. Można w przekazie do kolegi, koleżanki na kimś nie zostawić suchej nitki, ale poza rozmówcami nikt tego nie słyszy. Znika problem odległości i czasu. Posiadacz ciekawej pikantnej informacji o sąsiedzie nie musi czekać na okazję, aby przekazać ją koledze czy koleżance, czyni to na poczekaniu poprzez telefon. Nawet ze strzępów rozmów, zasłyszanych wieści, budowane są opinie o znajomych. Przede wszystkim jednak w cenie są informacje, które rzucają cień na daną osobę. K. to szlachetny człowiek, pracowity, uczynny, kochający dzieci, ale cóż, czasem ma słabość do kieliszka. Oczywiście wszystko inne, cechy charakteru idą w odstawkę, a opinia, że ma słabość do kieliszka, trafia w obieg społeczny.

Krystyna Lasota

ZE WSPOMNIENIŃ LUBACZOWSKIEGO TAKSÓWKARZA (III)

Kaprysy pasażerów bywają zadziwiające. Jednego dnia do wozu wsiadło dwóch mężczyzn, którzy zamówili kurs do hotelu w Jarosławiu. Zauważyłem, że byli mocno wstawieni. Dlatego też zażądałem zapłaty z góry. Rachunek uregulowali i wyruszyliśmy. Gdy już zbliżałem się do celu podróży, zmienili plan i zamówili jazdę do Zielonej Góry! Zajechałem jednak w Jarosławiu przed hotel. Nie chcieli wysiadać i kategorycznie zażądali kontynuowania podróży. Nie mając wyjścia, jechałem dalej. W Przeworsku, w nadziei, że ich przekonam do rezygnacji z podjętych planów, znowu zajechałem pod hotel. Tu również zażądali bezwzględnie jazdy do Zielonej Góry. Udałem, że spełniam ich prośbę, a faktycznie przez Sieniawę udałem się w drogę powrotną do Lubaczowa. Wykorzystałem sytuację, że moi pasażerowie usnęli. Wysadziłem ich w tym samym miejscu, w którym wsiadli. Dowiedziałem się później, że byli to dwaj groźni przestępcy.

Swego czasu późnym wieczorem niemal w biegu wsiadł do samochodu mężczyzna. Przynaglał, aby szybciej ruszyć w stronę Oleszyc – *O! Jedziemy za tym samochodem. Jest w nim moja żona z amantem* – powiedział, gdy przed nami zauważyliśmy jego sylwetkę. Zachowując przyzwoitą odległość, jechaliśmy za nimi. Przed Zapałowem samochód wjechał w leśną drogę i się zatrzymał. Mój pasażer pognął do niego. Ku mojemu zaskoczeniu, wrócił z żoną. Byłem przekonany, że usłyszy od niego ostrą reprimendę. Nic takiego nie nastąpiło! W zamian szeptał jej czule słówka: – *Zosieńko, ja ciebie kocham nad życie. Codziennie daję tego dowody. Gdy jesteśmy w pracy, liczę godziny, kiedy znowu będziemy razem*. Żona, patrząc w szybę, długo nie komentowała jego słów. Wreszcie, gdy on ją przynaglał, wybuchnęła: – *Zapamiętaj sobie. Kota można zagłaskać na śmierć. Ciągłe za mną chodzisz, szpiegujesz mnie na każdym kroku, mam tego serdecznie dość*. Po jej słowach z kolei mąż się rozplakał.

Nieustannie w dzień i w nocy, na postoju i nawet w czasie jazdy, patrzymy na przechodniów. Mnóstwo twarzy się w pamięci utrzymało. A o ich właścicielach człowiek z czasem zdobywa dodatkowe informacje. Wystarczy, że ktoś się rzuca w oczy, wyróżnia wyglądem, zachowaniem. Na tej samej zasadzie poznajemy osoby, które wróciły z wojska, ze szkół, a nawet z więzienia. Prawdę mówiąc, przed nami nic się nie da ukryć. Mamy orientację, kto z kim toczy romans, kto z libacji wraca rano, kto jest uosobieniem wszelkich małżeńskich cnót, a kto gra na dwa fronty.

Zazwyczaj mało kto podejrzewa, że taksówkarz patrzy, obserwuje ludzi. A tu człowiek widzi, jak elegancka pani siedząca sobie na ławce przykładła dłoń do nosa, po chwili do ust, a nieźle ubrany mężczyzna szuka w koszu niedopałka. Szczególnie w dni świąteczne jest na co z samochodu popatrzeć. Nieustanna rewia mody, defilują dziewczyny i obnoszą swe wdzięki.

Noc ma również swoją klientelę, panowie wracający ze spotkań, od kumpli z pijatyk. Szczególnie ciekawie zachowują się ci, którzy byli u pań. Nerwowe oglądanie się to w jedną, to w drugą stronę, to za siebie, nawet chowają się za mur, za drzewo, gdy widzą przechodnia albo nadjeżdżający samochód. Nie brak i takich, którzy woła w nocy wcale nie wracać do domu. Tacy w zimie noc spędzają w dworcowej poczekalni, gdzie hajuje się na okrągło, latem lokują się na ławkach albo chodzą, aby dotrzeć do świtu.

Nie mniej ciekawa jest obserwacja w dzień oczekujących na autobus. Oto żegnająca się para, może małżeństwo, łyż w oczach, uściski i pocałunki. Gdy już autobus odjeżdża, wzajemne machanie rąk. Sceny jak z filmu. Ale bywa, że pan, który został sam ze swym, zdawać by się mogło, smutkiem, już po chwili zaczyna rozmowę z jakąś uroczą dziewczyną, a kilka godzin później, o zmroku całuje ją na moście. Ten finał widziałem na własne oczy podczas kursu do Cieszanowa.

Notował Marian Ważny

TRÓJPOLÓWKA WE FLORIANOWIE



Proces zagospodarowania części Rostocza, położonego między źródłami Tanwi, Sołokiji i Wieprza, rozwijał się w ciągu dwóch wieków. Ziemie te należały kiedyś do rodziny Małdrzyków i obejmowały obszar od źródeł Wieprza aż po starostwo lubaczowskie, które wchodziło w skład dóbr królewskich. W czwartej dekadzie XVI wieku dobra narolskie wchodzące w skład dóbr Chodywieńskich przeszły do rodu Marcinkowskich herbu Topór, którzy w 1565 roku założyli wieś Wieprzowe Jezioro, a w 1578 r. Łosiniec. Kniazin oraz na prawie wołoskim Narol-Wieś zwany wówczas Chołoszną. W latach 1578-1581 dużą majątność Marcinkowskich podzielono na trzy części. Jan Zamoyski kupił Rogóźno, Łosiniec i część Wieprzowego Jeziora.

Stanisław Łaszcz (ojciec Florianą) kupił Narol-Wieś i Rudę Wołoską, a Świętosław kupił Lipsk (nie mylić z Lipskiem koła Narola) i Przeorsk (Świętosław Lipski herbu Grabie przybył na nasze tereny z województwa kaliskiego w latach siedemdziesiątych XVI wieku i objął we władanie wieś Przeorsk oraz zalesiony grzbiec Rostocza, dawne ziemie Małdrzyków i Marcinkowskich).

Syn Stanisława, Florian Łaszcz Neledewski (właściciel) wybrał teren do budowy miasta przy szlaku jarosławskim, w pobliżu niedawno założonej wsi Chołosznia (dzisiejszy Narol-Wieś, a na mapach z XIX wieku Narol Stary). W okolicy słabo zagospodarowanej, jaką była kotlina górnej Tanwi, założył dwa miasta: Florianów (czyli dzisiejszy Narol) i Łaszczówkę pod Tomaszowem Lubelskim. Na południowej stronie Tanwi, czyli na terenach dzisiejszego powiatu lubaczowskiego, intensywnie zakładano wsie. Tutaj swe zdolności gospodarcze wykorzystywał hetman Jan Tarnowski i w latach 1539-1561 prowadził akcje zakładania nowych wsi. W 1549 roku hetman dostał tę królewską wioskę w dożywocie, a po jego śmierci starostwo lubaczowskie objął Gabriel Tarło, kasztelan radomski i starosta chełmiński.

Północną część starostwa zaludnił nowymi kmieciami wsie Basznie i Smolin. Z kolei nad strumieniem Gnojnik w 1564 r. założył wieś Horajec (dzisiejszy Gorajec). Jak sama nazwa wskazuje, w Horyńcu mogli być osadzeni Rusini. Pod koniec XVI wieku starostwo lubaczowskie przeszło w ręce rodu Płazów herbu Topór.

W końcu XVI wieku powstał majątek Cieszanowskich, zapoczątkowany przez przybyłego tu Stanisława, starostę Samborskiego, który kupił w 1579 roku Stare Sioło, Syców, Wołę Nowosielską i leżącą w pobliżu Narola Podemszczynę, Łowczę i Chotylib. Na południowym zboczu Rostocza, na surowym korzeniu lokowano leżący niedaleko Narola Susiec, Skwarki i Krupiec. Wydarzenia to miało miejsce w 1600 roku.

Z przemianami kolonizacyjnymi wiązał się wzrost produkcji rolnej i hodowlanej –

polegało to na rozszerzeniu areału upraw, jak i w upowszechnianiu trójpółówki, pozwalającej zwiększyć obszar zasiewanych corocznie pól. Pierwszymi mieszkańcami Chołoszni byli Wołosi – lud górski pochodzący z Rumunii. Ich głównym zajęciem była hodowla owiec i bydła. W niektórych wsiach o ustroju niwowym grunta dzielono na trzy wielkie niwy służące kolejno uprawie ozimej, jarej oraz ugorowi. Niwy dzielono na węższe pasy, zwane czasem płosami.

W XIX wieku w Narolu znane były miary powierzchni (niektóre były ściśle, czyli dokładnie określone, inne były ogólne, czyli „w przybliżeniu”). Najbardziej zainteresowały mnie miary powierzchni zwane płuskami. Była to miara dokładnie określona, najczęściej używana przez rolników, mających najmniej gospodarstwa. Nikt z pytanym przeze mnie rolników nie mógł określić, ile arów ma płuska. Szukałem więc w podręcznikach płuski i nie znalazłem. Była to miara wyłącznie narolska. Znalazłem ją dopiero w 6-tomowym dziele „Historia kultury materialnej Polski”. W tomie drugim w rozdziale „Gospodarka rolno-hodowlana” autorka A. Rutkowska-Płuchcińska pisze: „Trójpółówka regularna wprowadziła przymus uprawy zbiorowej obowiązujący we wsiach o ustroju niwowym, na gruntach podzielonych na trzy wielkie niwy służące kolejno uprawie ozimej, jarej oraz ugorowi. Niwy z kolei dzielono na węższe pasy, zwane czasem płosami”. Możemy przypuszczać, że narolski wyraz „płuska” w XIX wieku i wcześniej oznaczał podział «płos» na jeszcze mniejsze kawałki zwane «pluskami» (czasami liczyły one 15 arów, czasami 12). Wyrazu „niwy” przestano używać w gospodarce rolnej Narolszczyzny. Zachowały się one do naszych czasów w gospodarce leśnej (niwa łoża i niwa węglarska).

Trzy główne niwy to całość pól Narolu Miasta ciągnące się od ostatnich domów (na zachód od kościoła narolskiego) aż do lasów należących do wsi Paary zwane Niwa Rynkowe, Kuse ćwiartki i Lan ćwiartki puste. W XVII i XVIII wieku były one ogrodzone płotem plecionkowym, który miał chronić zasiewy przed szkodnikami, a więc przed własnym inwentarzem oraz dzikimi zwierzętami. W tym miejscu musimy poinformować czytelnika, że jedna trzecia pól odpoczywała od zasiewów. Pasiono za to na niej zwierzęta domowe należące do mieszczan narolskich (na rolników z Florianowa używano w dokumentach nazwy „przedmieszczanie”). Florianów od chwili założenia nie miał terenów, na których mogło się paść bydło. Wykorzystywano więc ugorujące pole.

Będąc w Archiwum w Przemyślu, dotarłem do mapy katastralnej Narolszczyzny z roku 1854. W zespole tym jest „Mapa Narola Miasta” i mapa pól należących do Narola Miasta. Wszystkie działki na tej mapie były pokolorowane. Na olbrzymiej mapie pól narolskich wyczytałem: Lan Rynkowe Lan Kuse Ćwiartki i Lan Ćwiartki Pustej. Ten ostatni dochodził aż do granicy dóbr Zamoyskich, czyli do wsi Paary.

Osobne tereny nad rzeką Tanew, od południa przylegające do dóbr królewskich, czyli łąki, przeznaczone były do koszenia, czyli nasiano. Lasów miasteczko nie miało, ale były tereny piaszczyste przylegające do Lanu „Rynkowe” – to dzisiejszy las przed Młynkami, zalesiony przez młodzież narolską zaraz po pierwszej wojnie światowej i nieduży teren pomiędzy Narolem Miastem i Zagrodami, zalesiony w okresie międzywojennym.

Lan „Rynkowe” należał do największych. Były przy tym łąki małe, czyli niewielkie kawałki pól, oddzielone od siebie miedzami, a leżące przy drodze polnej, prowadzącej do Paarów, zwanej „graniczką”. Wszystkie były tej samej szerokości i długości, oddzielone od dóbr Narola Wsi miedzą. Zwano je półogrody. W potocznej mowie miały nazwę „Półogrodki”. Nazwa ta figuruje w broszurze „Urzędowe nazwy miejscowości i obiektów fizjoobrazicznych” 63 powiat lubaczowski, 1965 r. Takie małe działki były również przy Łanie Rynkowe, leżące przy drodze zaczynającej się jako ulica Józefowska do Paarów.

Wszystkie łąki ograniczone były drogami polnymi. Najdłuższa z nich to „Graniczka” oddzielająca Lan Ćwiartki Pustej i Lan Kuse Ćwiartki od pól Narola Wsi. Lan Kuse Ćwiartki od Zachodu oddzielony był głęboką drogą polną. Drugą była droga z Zagród do Młynek. Gdy na Łanie „Rynkowe” siano zboża ozime, to na Kyskich Ćwiartkach siano zboże jare.

W gospodarce trójpółowej pod uprawę ozimą brano ugor już latem. Orano przeważnie w czerwcu, a nawet jeszcze w lipcu. Orka ugoru należała do najcięższych prac polnych, gdyż gleba była często zeschnięta, w glebie było mnóstwo korzeni. Konieczne były dwie orki latem. Orano pługiem, a potem radłem w kierunku poprzecznym do skib jesienią, zwykle we wrześniu. Orano jeszcze w październiku przez siewem zbóż, zwanych w Narolu ozimimą.

Na polach jarych stosowano najczęściej jedną orkę przedśiewną, a po niej bronowanie. Orkę rozpoczynano w końcu marca albo na początku kwietnia przede wszystkim ze względu na owies, uprawiany jako jarzyna, stąd pochodzi nazwa „zboże jare”. Uprawa jęczmienia wymagała dwukrotnej orki (jęczmień siano na cięższych glebach, a to wymagało dwukrotnej orki). Terminy siewu roślin jarych rozciągały się na dłuższy okres: w początkach kwietnia siano owies, jęczmień i rośliny strączkowe. W czerwcu siano proso, tatarkę, rzepę i rzepik.

Siew zbóż ozimych wykonywano we wrześniu. Siano je zwykle gęściej niż zboże jare. Podstawowe znaczenie w dawnych wiekach miały cztery główne zboża: żyto, owies, pszenica i jęczmień. Mniejsze znaczenie miało natomiast proso i jego późniejsza odmiana „ber”.

Za nową rośliną w tym czasie uważano tatarkę, zwano ją również poganką. Historycy przypuszczają, że przybyła do Polski ze wschodu (nie było jej łacińskiej nazwy w tym czasie).

ciąg dalszy nastąpi
Henryk Wolańczyk

Stary Dzików (II)

kały strzechy, wznoszono murowane budynki, pojawiały się ciągniki, maszyny i urządzenia ułatwiające pracę. Nastąpił olbrzymi skok cywilizacyjny, który był widoczny we wszystkich sektorach gospodarki, w tym i w rolnictwie.

Znaczące zasługi w zakresie rozwoju transportu miał Jarosław Maksymowicz z Cewkowa. Posiadana „40-tką” dostarczał materiały budowlane (cegły, pustaki) dla mieszkańców gminy. Również jego kolega Edward Markiewicz (Puszka), który oprócz materiałów budowlanych dla rolników, transportował drewno do zakładów płyt pilśniowych w Przemyślu. Wyraźnie lepszy był dla rolników zaznaczył się od 1972 roku, gdy zniesiono obowiązkowe dostawy. Wówczas rolnicy mogli korzystać z kredytów inwestycyjnych, przydziałów deficytowych ciągników i maszyn. Ponadto rolnicy i ich rodziny zostały objęte bezpłatną opieką zdrowotną, a przekazującym gospodarstwa przyznano emeryturę rolniczą, dającą bezpieczeństwo na stare lata. Zmiany te zostały przyjęte pozytywnie przez rolników, którzy przestawili się na intensyfikację i specjalizację produkcji.

Gmina Stary Dzików to wizytówka naszego powiatu. To tutaj rolnictwo zawsze było na wysokim poziomie. Początkowo dominowały uprawy zbóż, ziemniaków, rzepaku, konopi, lnu (głównie w Cewkowie) i buraków cukrowych, których skup prowadzony był w Nowym Dzikowie, i składowano je w miejscu, w którym obecnie zlokalizowany jest kościół. W latach 1960-2000 na szeroką skalę rozwinięta była uprawa lnu włókniściego. Jej znaczącym popularyzatorem był Józef Wawrzyniec z Cewkowa, ceniony działacz społeczny Kółek Rolniczych. Niestety, w realiach wolnego rynku i zalewu tanich produktów odzieżowych z Chin, uprawa lnu upadła.

Dużą rolę w latach 1970-1990 we wprowadzaniu nowoczesnych metod gospodarowania odegrały służby rolne. To one były organizatorami szkoleń rolniczych, pokazów, konkursów. Ich praca była niezwykle trudna, gdyż odbywała się w terenie przy stałych kontaktach z rolnikami. Obejmowała ona również rozprowadzanie materiału siewnego, zwierzęcego, jak zarodkowe loszki i cieliczki. Nie było to zadanie łatwe, gdyż rolnika trzeba było długo przekonywać do wprowadzania nowoczesnych metod gospodarowania. Jednak praca agronomów nie poszła na marne. Powstało wówczas wiele gospodarstw specjalistycznych. Pierwszymi w zakresie specjalistycznej hodowli bydła mlecznego były gospodarstwa Jana Jędruchowa z Starego Dzikowa i Mariana Jędruchowa z Moszczanicy. Z kolei Jan Kwaternacz prowadził szkółkę drzew owocowych.

Służbą rolną w owym czasie kierowała Krystyna Rucka, a agronomami byli: Adam Rychlicki, Anna Jarmuż, Maria Szakalicka, Julian Wawrzyniec i Władysław Zajac, który miał dar przekonywania rolników, a jego dyskusje z nimi były merytoryczne, oparte na życiowych przykładach. Swe zasługi we wprowadzaniu w rolnictwie postępu miał również SKR.

Obecnie rolę doradcą przejął Powiatowy Zespół Doradztwa Rolniczego w Lubaczowie w oso-

bach Jana Wacha, Stanisławy Szczybyło i kierownika Zespołu Leszka Lewentowicza. Głównym zadaniem doradców jest pomoc mieszkańcom wsi w pozyskiwaniu środków pomocowych z Unii Europejskiej: dopłat obszarowych, programów rolno-środowiskowych, wsparcia dla młodych rolników, restrukturyzacji i modernizacji gospodarstw, tworzenia nowych miejsc pracy w ramach działalności gospodarczej.

Pierwszym lekarzem weterynarii w Starym Dzikowie był Leon Szpyt. Jego przychodnia mieściła się w murowanym budynku przy ulicy Kościuszki. W latach siedemdziesiątych przy ulicy Kopernika otwarta została lecznica weterynaryjna z nowoczesnym zapleczem, mieszkaniem dla lekarza i sprzętem weterynaryjnym. Długoletnim lekarzem weterynarii, do dziś sympatycznie wspomnianym, był Tadeusz Kornaga, felczer Franciszek Nieckarz (Manio) oraz technik weterynarii Stanisław Jabłoński i Grzegorz Jabłoński. Jako środek lokomocji lekarzom służył motocykl, a później otrzymali samochód (na talony). Obecnie lekarzami weterynarii w Starym Dzikowie są Mariusz Golec i Bogusław Cioch. Praca weterynarzy była bardzo ciężka. Nieodzownym elementem postępu w rolnictwie było wprowadzenie inseminacji krów i loszek, a wieloletnimi inseminatorami byli i są: Kazimierz Bondyra, Krystyna Bondyra, Michał Cieplicki, Władysław Kozak, Stanisław Jabłoński, Józef Kubala, Julian Wawrzyniec.

Gmina Stary Dzików zasobna również była w rzemieślników, m.in. murarzy, stolarzy i cieśli. Zarówno w latach powojennych, jak też w okresie szybkiego rozwoju, było olbrzymie zapotrzebowanie na tego typu fachowców. Do najbardziej znanych należał Jan Dyndał, z zawodu murarz, pochodzący z Pawłowej, który ożenił się z mieszkanką Cewkowa i tam też zamieszkał. W swoim fachu pracował nieprzerwanie przeszło 50 lat, aż po kres swoich sił, aby utrzymać swoją liczącą dziesięcioro dzieci rodzinę. Mieszkańcy Cewkowa mówią, że nie ma w tej wsi gospodarstwa, w którym nie postawiłby jakiegoś budynku. Gdy brakowało zleceń na miejscu, szukał pracy poza gminą, wtedy wraz ze swoimi dorosłymi synami wyjeżdżał do pracy nawet do Warszawy. Jak wiadomo, praca murarza, zwłaszcza w tamtym okresie, nie należała do lekkich, co znacznie odbiło się na jego zdrowiu. Do dzisiaj jest wspomniany jako świetny fachowiec, który dodatkowo dzielił się swoją wiedzą w zakresie budowlanki, biorąc na budowę kolegów murarzy, m.in. Edwarda Nieckarza i Franciszka Mrówkę.

Kolejnym cenionym fachowcem był Tadeusz Kurak, który podobnie jak jego kolega, był murarzem, ale i też zdunem, stawiał kaflowe piece kuchenne, które zapewne do dziś stoją w wielu domach. Znany fachowcem, również z Cewkowa, był Władysław Grochowicz, który wraz ze swoją brygadą budowlaną w latach 80. i 90. wykonywał mosty i przepusty na terenie gminy, jak też inne prace budowlane.

Do najbardziej znanych w swoim fachu w różnych zawodach na terenie gminy należeli:

Jan Komenda, Józef Horajski, Jarosław Grzebiennik, Mieczysław Żyła, Ludwik Otulak, Jan Sołtyś, Zbigniew Zajac, Feliks Jabłoński, Władysław Kozicki, Adam Barszczowski, Stanisław Ozimek (Bicki), Jan Kępski, Jan Grochowicz, Józef Kostyra, Michał Marczak – murarze, Marian Liwień, Józef Jabłoński, Jan Banaś, Stanisław Montusiewicz, Kazimierz Ozimek, Wincenty Szlachta, – kowale, Marian Kubala – cieśla, Józef Kamiński, Józef Ozimek (Nazarko), Marian Syryło, Bronisław Wajs, Stanisław Nieckarz, Franciszek Nieckarz, Edward Nieckarz (Baździak), Stanisław Brzyski, Włodzimierz Granisz, Józef Granisz, Jan Mrówka, Roman Osypanka – stolarze, Jan Kłós – bednarz, Stanisław Goraj, Bronisław Grochowicz – betoniarze, kregi studzienne, przepusty, Tadeusz Kwaternacz, Jan Ozimek – pustaki żużlowe, Jan Syc, Zdzisław Fila, Stanisław Syryło, Czesław Jabłoński – hydraulicy, Józef Bednarz z Koziejówki – właściciel tartaku, Franciszek Sopol – przecieranie drewna – trak jednopiłowy, i wielu innych.

Nie sposób tu nie wspomnieć o Stanisławie Strycharzu – „złotej ręczce”, dla którego wszelkie nowości techniczne nie miały tajemnic, znany był szczególnie z prowadzenia usług młocarnią, naprawy ciągników, maszyn, produkcji pustaków i dachówek, a do wyrobu ich zaangażował swoje dorastające córki. Samodzielnie zbudował piłę motorową, co było ewenementem na skalę powiatu. Umiejętności w zakresie ślusarstwa i spawania miał też Henryk Nieckarz, odznaczający się ponadprzeciętną znajomością fachu (wykonał we własnym zakresie ciągnik rolniczy z użyciem silnika „ES-a”). W obecnych czasach wśród młodych zdolnych mieszkańców należy wymienić niezwykłego Adama Sopla, który oprócz prac ślusarskich, pasjonował się kowalstwem artystycznym, a jego dzieła brały udział w konkursach wyrobów kowalskich w Wojciechowie w woj. lubelskim. Ci wszyscy znakomici rzemieślnicy przyczynili się do rozwoju gminy.

Na początku lat sześćdziesiątych z miejscowości Kanie koło Stargardu Szczecińskiego, wraz z rodziną i sprzętem rolniczym i zwierzętami (krowy czerwono-białe i klacze), przybył do Nowego Dzikowa Władysław Kosarewicz. Niestety gospodarstwo, w którym rodzina zamieszkała, było w fatalnym stanie. Jednak dzięki ich pracowitości z biegiem lat udało się je odbudować. Okazało się, że Władysław i jego żona Maria byli repatriantami i pochodzili z Kamionki Strumiłowej koło Lwowa. Podczas akcji przesiedlenia z Kresów przeniesiono ich na Ziemię Odzyskaną. Do Nowego Dzikowa przyjechały też jego dzieci: Roman i Danusia. Syn ukończył Liceum Ogólnokształcące w Lubaczowie, a następnie studiował weterynarię w Lublinie. Po jej ukończeniu znalazł pracę w Kluczborku, gdzie awansował na stanowisko powiatowego lekarza weterynarii. Tam poznał swoją przyszłą żonę Elżbietę i doczekali się trójki dzieci. Niestety świetnie zapowiadającą się karierę przerwała nagła śmierć w wieku 54 lat. Do Kluczborka przeprowadzili się też jego rodzice i siostra Danusia.

Henryk Goraj

**28 września**

W Załużu Paweł W. kierował rowerem pomimo obowiązującego zakazu sądowego.

30 września

Do groźnie wyglądającego zdarzenia doszło po godz. 13 na trasie Płazów – Narol. Ze wstępnych ustaleń wynika, że kierujący ciężarowym dafem z naczepą, 47-letni obywatel Ukrainy, jadąc w kierunku Narola, nie zachował należytej ostrożności podczas manewru wymijania, ściał zakręt i zjechał na przeciwny pas. Mimo gwałtownego hamowania kierowca osobówki, który jechał z naprzeciwka, nie uniknął kolizji i uderzył w naczepę tira. W wyniku zdarzenia 29-letni mieszkaniec Cieszanowa trafił do szpitala. Obaj kierujący byli trzeźwi.

3 października

Około północy pociąg relacji Rzeszów-Horyniec Zdrój dojechał do stacji końcowej. Kierownik wraz z maszynistą zauważyli na tyle skład spiącego pasażera. Próbowali go obudzić, ale mężczyzna nie reagował. Obaj wysiedli na chwilę z pociągu, aby odebrać przesyłkę i będąc na zewnątrz, widzieli, jak śpiący wcześniej mężczyzna, opuszcza przedział i odchodzi z peronu. Po powrocie do szynobusa kierownik i maszynista sprawdzili swoje rzeczy i stwierdzili, że brakuje terminala mobilnego o wartości około 7 tys. złotych. Wezwali policjantów, którzy w trakcie dojazdu na miejsce interwencji zauważyli i za-

trzymali mężczyznę odpowiadającego rysopisowi. Początkowo 46-letni mieszkaniec gminy Stary Dzików twierdził, że nic nie brał z pociągu. Tłumaczył, że gdy opuścił peron i szedł ulicą, podeszło do niego dwóch mężczyzn, którzy chcieli mu sprzedać urządzenie przypominające telefon komórkowy. Gdy odmówił, mężczyźni wyrzucili urządzenie w trawę. Policjanci wraz z kierownikiem pociągu i zatrzymanym mężczyzną udali się do wskazanego miejsca, gdzie znaleźli i zabezpieczyli urządzenie. Ostatecznie 46-latek przyznał się do kradzieży i porzucenia urządzenia w trawie. Twierdził, że zrobił to na złość obsłudze pociągu, ponieważ nie spodobało mu się to, że go obudzili.

7 października

W Lubaczowie Łukasz P., będąc w stanie nietrzeźwości, kierował samochodem m-ki Opel.

10 października

W Kowalówce Mirosław W., będąc w stanie nietrzeźwości, kierował samochodem m-ki VW.

11 października

W Lubaczowie Dawid S. wbrew postanowieniom *Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii* posiadał marihuanę.

17 października

W Lubaczowie Mariusz S., będąc w stanie nietrzeźwości, kierował samochodem m-ki Citroen.

16 października 2020 r.

W Nowym Bruśnie Daniel S. wbrew postanowieniom *Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii* posiadał metamfetaminę.

18 października

W Załużu Paweł W. kierował rowerem pomimo obowiązującego zakazu sądowego.

mo obowiązującego zakazu sądowego.

18 października

W Załużu Arkadiusz P. wbrew postanowieniom *Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii* posiadał marihuanę.

20 października

W Lubaczowie Kamil M. wbrew postanowieniom *Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii* posiadał marihuanę.

22 października

W Baszni Górnej Michał L., będąc w stanie nietrzeźwości, kierował samochodem m-ki Renault.

25 października

W Lubaczowie Krzysztof R., będąc w stanie nietrzeźwości, kierował samochodem m-ki Honda.

27 października

Około godz. 13 na ul. Mickiewicza w Lubaczowie doszło do zderzenia drogowego z udziałem trzech pojazdów. Na miejscu zdarzenia policjanci ruchu drogowego ustalili, że kierująca hyundaiem, 41-letnia mieszkanka gminy Horyniec-Zdrój, na ul. Mickiewicza chciała skrócić w lewo na parking przy przychodni. Zatrzymała się, przepuszczając jadące z naprzeciwka pojazdy. Za nią stanęła kierująca osobowym audi, 19-letnia mieszkanka Lubaczowa. Natomiast jadąca za nią fordem, 43-letnia mieszkanka gminy Lubaczów, nie zachowała bezpiecznej odległości od poprzedzającego ją pojazdu, nie wyhamowała i uderzyła w tył audi. Siła uderzenia spowodowała, że audi uderzyło w stojącego przed nią hyundaia. W wyniku zdarzenia 19-latek z obrażeniami została przewieziona do szpitala. Wszystkie kierujące były trzeźwe.

Animozje między Cieszanowem a Lubaczowem

Cieszanów, Lubaczów – dwa sąsiadujące z sobą miasteczka. Dziś trudno mówić o jakichś animozjach, swarach czy konfliktach między tymi grodami. Jednak niegdyś było odmiennie i przez dziesięciolecia utrzymywał się dystans, a wzajemne kontakty nie były pozbawione złośliwości czy nawet zawiści.

W historii to Cieszanów, a nie Lubaczów był znaczącym w regionie miastem. W przewodnikach pisano: „Lubaczów, miasteczko położone nieopodal Cieszanowa”. To Cieszanów do 1924 roku był siedzibą powiatu. Tutaj też przed wojną było Seminarium Nauczycielskie, sąd. Niezwykle bogate są tradycje patriotyczne miasteczka. Cieszanowian nie brakło w powstaniu styczniowym. Liczny był ich zaciąg do legionów, a w czasie II wojny światowej do AK.

Pobliski Lubaczów nie mógł się pochwalić takimi atutami. Za to los dla tego miasta okazał się bardziej łaskawy. Schyłek XIX wieku był dla Lubaczowa okresem buma gospodarczego. W planach sztabu austro-węgierskiego Lubaczów leżał na przedpolu umocnień. Cały ten obszar osłaniał monarchię od ataku Rosji. Dlatego tu doszło do takich inwestycji jak budowa linii kolejowej, koszar czy szpitala. Były to inwestycje miastotwórcze, które wpłynęły na rozwój Lubaczowa.

Wiązało się to jednak z postępującą degradacją Cieszanowa. Rodziło to frustracje i niechęć do sąsiada, tym bardziej, że to Cieszanów przyczyniał się do rozwoju Lubaczowa. Wystarczy rzucić okiem na tablicę fundatorów lubaczowskiego szpitala. Niemal wszyscy to obywatele Cieszanowa. Lubaczów z tego miasteczka jak gąbka wysysał co zdolniejszych urzędników, prawników, lekarzy.

Konflikt osiągnął szczyt, gdy, jak wspomnieliśmy, w 1924 roku powiat przeniesiono do Lubaczowa. Władze spotkały się ze zdecydowanym oporem. Cieszanowianie odmawiali zgody na przenosiny. Musiało interweniować wojsko. Nieprzypadkowo w wychodzącym w dwudziestolecie międzywojennym w Lubaczowie dwutygodniku „Maszerować” nie znajdziemy najmniejszej wzmianki o Cieszanowie.

W przeciwieństwie do Lubaczowa Cieszanów został okrutnie dotknięty przez los. W czasie ostatniej wojny szereg światłych osób trafiło do obozów koncentracyjnych, a w 1944 roku miasto przez UPA niemal doszczętnie zostało spalone. A po wojnie przez szereg lat tkwi w stagnacji i powoli własnym wysiłkiem dźwigał się z ruin.

Za to młodzież cieszanowską wyróżniał wielki pęd do nauki. Dato wało się to od lat międzywojennych. Wówczas przed rozpoczęciem roku akademickiego na pociąg do Lwowa oczekiwała liczna grupa studentów z Cieszanowa i tylko kilku z Lubaczowa. A w okresie powojennym niemal całe roczniki absolwentów szkoły podstawowej kontynuowały naukę w szkołach średnich i wyższych.

To oczywiście, powiatowe urzędy zasilili urzędnicy z Cieszanowa. Ich pozycja w powiecie, nawet w okresie powojennym, przez kilka dziesięcioleci była znacząca. Obecnie jednak ranga Cieszanowa w powiecie jest wyjątkowo ograniczona. Jedyne samorządowce w radzie powiatu Zbigniew Wróbel nie jest z Cieszanowa, tylko ze Starego Lublińca. Nie ma też już dawnej pozycji Cieszanowa nawet w gminie. Przez kilka kolejnych ostatnich kadencji burmistrzem Cieszanowa jest Zdzisław Zadworny, mieszkaniec Dachnowa. Takim swoistym symbolem pozycji Cieszanowa w Lubaczowie jest usytuowana w centrum miasta, ciesząca się powodzeniem, kancelaria radcy prawnego Tadeusza Ciekievicza, mieszkańca Cieszanowa.

Dziś u mieszkańców Lubaczowa, jak i Cieszanowa ani śladu dawnych animozji czy uprzedzeń. Czasem tylko w kontaktach towarzyskich wydobywają się uszczypliwości pod adresem Cieszanowa. Wówczas przypominane są anegdoty o stacji kolejowej, która miała być zbudowana w Cieszanowie, ale rajcy się nie zgodzili w obawie przed pożarami, o koszarach, których nie zbudowano w obawie przed rozpustą. Dla młodego pokolenia to już odległa przebrzmiała historia.

Wiele banków w jednym miejscu

Umów się na spotkanie
z ekspertem finansowym

Kredyty

- gotówkowe
- hipoteczne
- firmowe



ul. Rynek 1a, 37-600 Lubaczów
tel. 791 343 033, 607 828 656, 665 990 736

lendi

To, co naprawdę się liczy.